

Wspomina Michel Prik, późniejszy żołnierz francuskich wojsk spadochronowo-desantowych i powojenny organizator spadochroniarstwa sportowego.

# Z Rosji przez Konstantynopol do Paryża

Urodziłem się w Montargis, w samo południe 6. stycznia roku 1926. Moi rodzice byli imigrantami, przybyli do Francji z Konstantynopola.

### Rodzice

Zacznijmy od ojca. Jacob Prik, uciekając przed rewolucją rosyjską, wyjechał z rodzinnego kraju w roku 1920. Pochodził z Krymu i – jak miliony innych uchodźców – opuścił ojczyznę z ostatnimi oddziałami generała Antona Denikina, przez Sewastopol. Stamtąd dotarł statkiem do Konstantynopola, nie wiedząc, czy kiedykolwiek

Na początku lat 20. XX w. w Stambule dziewczęta wykonywały prace odpowiednie do wieku i pozwalające im się utrzymać.



ponownie ujrzy swoje rodzinne strony. Na wszelki wypadek postanowił spalić za sobą mosty, drąc na kawałki i wrzucając do morza wszystkie dokumenty i papiery, które ze sobą zabrał. Błąkał się po ulicach Konstantynopola wśród innych imigrantów rosyjskich, nie miał pomysłu, jak odnaleźć się w tej sytuacji, jak żyć lub choćby przeżyć. Szczęśliwym trafem daleki krewny rodziny zarządzał szpitalem w Konstantynopolu i Jacob Prik tam znalazł zatrudnienie jako kucharz, co na pewno było dobrym, choć tymczasowym rozwiązaniem.

W tym samym szpitalu pracowała też pewna młoda kobieta, która wszystko straciła. Była Greczynką z małej wioski pod Konstantynopolem, zamieszkałej od zawsze wyłącznie przez Greków. Pierwsza wojna światowa odcisnęła swoje tragiczne piętno na losach mieszkańców tej wioski. W konsekwencji moja przyszła matka – odcięta od rodziny, której udało się powrócić do Grecji – trafiła do Konstantynopola, gdzie w szpitalu wykonywała przeróżne prace odpowiednie dla dziewczyny w wieku około dwudziestu lat, które pozwalały jej przetrwać. Mówiła, rzecz jasna, po grecku, ale znała też język turecki.

Traf chciał, że moi rodzice się spotkali. On oczywiście nie mówił po grecku, a ona nie znała rosyjskiego, ale jeden język mieli wspólny: turecki. Ojciec pochodził ze stolicy Krymu, Symferopola, i utrzymywał kontakty z Tatarami. Mój ojciec i jego przodkowie mówili zarówno po rosyjsku, jak i po tatarsku [zapewne był to krymski dialekt języka karaimskiego – red.], czyli językiem bardzo zbliżonym do tureckiego. Toteż

kiedy ojciec poznał moją matkę w Konstantynopolu, mogli porozumiewać się po turecku. I tak zaczęli się spotykać. Tymczasem ojciec stanął przed wyborem – pozostać w Konstantynopolu i wegetować z dnia na dzień albo zaryzykować wyjazd za granicę z większymi możliwościami rozwoju. Rosyjscy emigranci żyli w niepewności i krańcowym ubóstwie, o czym najlepiej świadczy to, że – z braku innego odzienia – wciąż chodzili w swoich żołnierskich mundurach. Natomiast francuskie huty stali oferowały im zatrudnienie początkowo w Konstantynopolu, a później możliwość kontraktu we Francji. Dla Rosjan była to okazja, by spróbować czegoś nowego i podnieść poziom życia, co francuskim hutom stali zapewniało stosunkowo niedrogą i niezbyt wymagającą siłę roboczą. Wielu wybrało tę drogę do Europy.

Rzecz jasna ojciec zapytał matkę, czy chciałaby z nim wyjechać. Kochali się bardzo, jednak sprawa nie była prosta. Rodzina matki przebywała już wówczas na terytorium Grecji, która przyjęła ich z otwartymi ramionami. Historycznie rzecz biorąc, ich prawdziwą ojczyzną był Konstantynopol, ale w wyniku nacisków ze strony Kemala Paszy (Atatürk), rodzina matki została zmuszona do wyjazdu na nieznane im terytorium narodowe Greków. Dla mojej matki oznaczało to ekspatriację, gdyż za prawdziwy kraj rodzinny uważała miejsce swojego urodzenia, czyli Turcję. Postawiona wobec alternatywy dołączenia do swojej rodziny na północy Grecji – konkretnie w Salonikach – lub wyjazdu w nieznane z moim ojcem, zdecydowała, że najpierw pojedzie do Salonik, a gdy ojciec zorientuje się, czy życie we Francji może się ułożyć, ona ewentualnie do niego dołączy.

## Nowe życie we Francji

Ojciec udał się więc do Francji statkiem wypełnionym po brzegi rodakami. Przez kilka lat mieszkał w Ugine, gdzie pracował w skrajnie ciężkich warunkach, trudnych do zaakceptowania z każdego punktu widzenia. Zajęcie to nie miało nic wspólnego z jego doświadczeniem i wykształceniem. Studiował agronomię. Pochodził z rodziny, której status można przyrównać do drobnej szlachty. Żyli z uprawy warzyw i owoców na własnej ziemi. Krym ma dosyć łagodny klimat, dzięki czemu uzyskiwali doskonałe plony, które również sami przetwarzali. Cała rodzina utrzymywała się z tego zajęcia. Mój ojciec planował, że po studiach też zajmie się uprawą wysokiej jakości warzyw. Praca we francuskiej odlewni w żaden sposób nie wiązała się z tym, co umiał i lubił robić.



Dzieci mówiące różnymi językami dorastały i wychowywały się razem.

Michel Prik w wieku wczesnoszkolnym.



Ojciec mieszkał wtedy z grupką kolegów – było ich tuzin, może piętnastu – którzy dzielili się informacjami, mogącymi wpłynąć na poprawę warunków ich życia. Doszły do nich słuchy, że pięć kilometrów na północ od Montargis jest wioska zwana Vésines, w której Amerykanie zbudowali fabrykę firmy Hutchinson. Produkowano tam rozmaite wyroby z kauczuku – dętki, opony, obuwie do gry w tenisa, kalosze itp. Fabryka powstała całkiem niedawno i – podobnie jak huty stali – była zainteresowana zatrudnieniem Rosjan, których miliony wyemigrowały do całej Europy. W zakładach Hutchinsona proponowano im pracę na warunkach nieco korzystniejszych niż w stalowniach. Zbudowano też dla nich domy, podobne do tych, w jakich na północy Francji mieszkało wielu Polaków pracujących w kopalniach węgla. Vésines to spora wieś. Fabrykę zlokalizowano na jej skraju, doprowadzając tam też linię kolejową. Szyny poprowadzono po nasypie, wzdłuż którego biegła ulica z piętrowymi domami, ogródkami i królikarniami. Życie w nich wydawało się miłe i wygodne. Przestrzeń z drugiej strony ulicy została podzielona na liczne działki pracownicze, gdzie robotnicy mogli uprawiać kwiaty lub warzywa, co dla niektórych stanowiło praktyczne wsparcie w wyżywieniu rodziny.

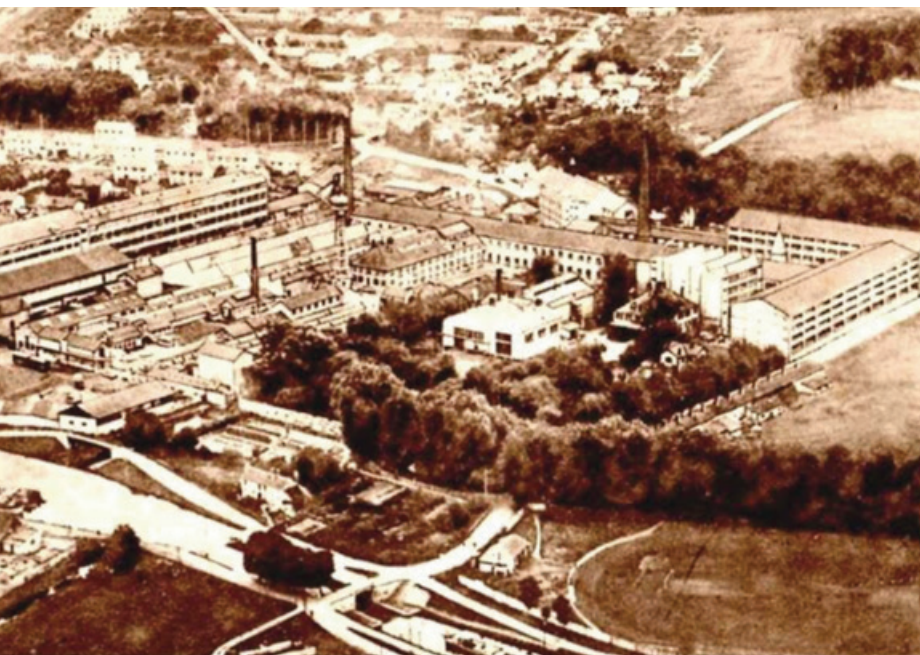
## Vésines i fabryka

Nie minęło wiele czasu, a mój ojciec wraz z jednym z kolegów przeniósł się do Vésines i rozpoczął tam pracę. Napisał do mojej matki, która

dołączyła do niego już po kilku miesiącach. Jej podróż trwała osiem dni i była dosyć burzliwa, ale w końcu matka dotarła do Vésines, by towarzyszyć ojcu. Niestety tuż po przyjeździe dopadła ją poważna choroba, najprawdopodobniej o podłożu nerwowym, po części spowodowana zmęczeniem podróży, po części – traumą wynikłą z opuszczenia rodziny dla mężczyzny, którego jeszcze niezbyt dobrze знаła, a także perspektywą życia w całkiem nowym dla niej kraju. To oczywiście, że te czynniki mogły doprowadzić do chwilowego pomieszczenia zmysłów, które nękało ją dość dotkliwie i skończyło się pobytem w szpitalu. Po wyjściu ze szpitala była nareszcie w stanie dołączyć do ojca i zatrudniła się w fabryce firmy Hutchinson, gdzie on już pracował wraz z licznymi Rosjanami. Życie rodziców, emigrantów zmuszonych do opuszczenia swych rodzin i ojczyzn, do rezygnacji ze znanego stylu życia i kulturowanych zwyczajów, zaczęło toczyć się swoim trybem. Zyskali jednak możliwość wspólnego życia – co bardzo ważne – w środowisku innych Rosjan, w tym zarówno nowych znajomych ojca, jak i dawnych przyjaciół z dzieciństwa na Krymie, którzy teraz, często przypadkowo, się odnajdywali.

W fabryce wciąż brakowało rąk do pracy, pojawili się tam więc Ormianie, którzy zamieszkali naprzeciw rosyjskiej wioski. Wielu z nich pochodziło z Turcji, ale byli i tacy, którzy przybywali z Rosji. Wkrótce i jedni, i drudzy zaczęli się spotykać nie tylko w pracy, ale przede

Fabryka Hutchinson w Vésines (Francja).



wszystkim w czasie wolnym. Wspólnym dla wszystkich językiem był turecki.

Moja matka odzyskała równowagę w tym przyjaznym środowisku, wśród rosyjskich przyjaciół mojego ojca i Ormian z kraju jej pochodzenia, pielęgnujących te same zwyczaje, te same wspomnienia, a nawet wyznających tę samą religię. Wszystko to składało się na pogodną i niezwykle ciepłą atmosferę, która otaczała tam ludzi i pozwalała im godnie żyć.

### Wielokulturowe środowisko

Matka dotarła do Francji w roku 1925, a po niecałym roku – 6. stycznia 1926 – w Montargis urodziłem się ja. Przez pierwsze trzy lata życia wzrastałem w środowisku Rosjan i Ormian, miewałem też sporadycznie styczność z Francuzami. Przede wszystkim żyłem życiem tej szczęśliwej – na tyle, na ile rozumie to trzylatek – małej społeczności o specyficznej atmosferze. Miałem też w dzieciństwie przyjaciela odrobinę tylko młodszego, syna rosyjskiego Żyda. Chłopiec nazywał się Daniel Melihan Cheinin. Spotkaliśmy się ponownie piętnaście lat później.

W tym miejscu muszę wspomnieć o czymś, co prawdopodobnie zaważyło na całym moim życiu. Rodzice oraz ich przyjaciele wielokrotnie mi powtarzali, że byłem dzieckiem nad wiek rozwiniętym i bardzo wczesnie zacząłem chodzić i mówić. W naszej rodzinie niemal jednoznacznie mówiono kilkoma językami – po rosyjsku, po turecku, po grecku, a nawet po francusku z mamką czy nianią, pod której opieką mama zostawiała mnie na kilka godzin, gdy szła do pracy. Jednak moja zdolność porozumiewania się w kilku językach opuściła mnie równie szybko, jak się pojawiła. Wkrótce przestałem mówić w ogóle: ani po francusku, ani po rosyjsku, ani po turecku, ani po grecku, wcale. Zaniepokojeni rodzice odwiedzili lekarza specjalistę, który im powiedział: „Proszę się nie dziwić, synek państwa jest nad wiek rozwinięty, ale wobec takiego krzyżowania się różnych języków próbuje rozpatrywać możliwości, znaleźć swoją drogę i zrozumieć innych. Proszę, by zachowywali się państwo wobec niego tak jak dawniej, a on sam opanuje sytuację i wszystko wróci do normy”. Niestety, rodzice nie zaufali doktorowi i powiedzieli sobie: „Skoro nasze dziecko ma mieszkać we Francji, zrobimy wszystko, żeby do niego mówić wyłącznie po francusku”. I odtąd, chociaż ze sobą rozmawiali w różnych językach i choć odwiedzający nas przyjaciele też mówili w różnych językach, do mnie zwracano się tylko po francusku, a ja po francusku odpowiadałem. Chociaż do ukończe-

nia czternastego czy piętnastego roku życia obracałem się praktycznie w kręgu osób mówiących po grecku, turecku, rosyjsku i tylko sporadycznie po francusku, ja rozmawiałem wyłącznie po francusku, czy to z kolegami z klasy, czy na podwórku. Podobnie w domu, w którym dominowały rosyjski i turecki, z wielkim zainteresowaniem śledziłem wesołe lub smutne opowieści o przeszłości i życiu we Francji, o przygodach i niepowodzeniach, o przyjemnościach, kłopotach i radościach, ale – mimo że wszystko rozumiałem – potrafiłem mówić tylko po francusku. Czuję się napiętnowany, jako „Francuz” pośród cudzoziemców, choć przecież obracałem się wśród swoich.

Moim rodzicom żyło się całkiem dobrze. Byli jeszcze stosunkowo młodzi. Ojciec miał około trzydziestki, matka – 25 lat. Pracowali, mieli swój dom, przyjaciół, kupili sobie nawet rowery i z radością jeździli na nich po okolicy. Wieczorami przy ładnej pogodzie wszyscy wychodzili na powietrze w okolicach nasypu kolejowego, który górował nad rosyjską wioską, i na stokach skarpy przy świetle księżyca zanurzali się w tej niezwyklej atmosferze, radości życia, we wspólnych zabawach i śpiewach. Razem z kolegami podchodziliśmy do kolejnych grup dorosłych, śmiejąc się, rozrabiając, żartując. To było nadzwyczajne. Powinniśmy byli pozostać w Montargis, a wiele spraw potoczyłoby się inaczej w życiu rodziców i w moim własnym.

Niestety, moja matka w tym zdominowanym przez Rosjan środowisku może nie czuła się niešťcśliwa, ale jednak miała wrażenie, że będzie jej lepiej w otoczeniu rodaków, Greków. Od przyjaciół słyszała, że w Paryżu mieszka wielu Greków, a także Rosjan, i że życie tam jest ławiejsze. W końcu zdołała nakłonić ojca, by wysondował, czy uda nam się zamieszkać w Paryżu. On sam najwyraźniej czuł się bardzo szczęśliwy w swojej wiosce, ale wobec uporu matki postanowił spróbować. Wiadomo, że gdy kobieta czegoś pragnie, w końcu to osiągnie, o ile mężczyzna darzy ją miłością.

## Paryż

W 1929 roku ojciec zaczął szukać nowego zatrudnienia i nowego domu wśród przyjaciół w Paryżu. Tych mu nie brakowało, a jeden z nich, kuzyn [Isaak] Saraf, wspólnie z innym Rosjaninem [Simonem] Szamaszem [oba byli Karaimami – przyp. red.], miał sklepik w piętnastej dzielnicy. Sprzedawali tam rosyjskie produkty, a równocześnie w piwnicy prowadzili restauracyjkę, właściwie bistro, do którego przychodzili taksówkarze, głównie Rosjanie, by



Plakat reklamujący gumowe wyroby fabryki Hutchinson.

niedrogo zjeść posiłek złożony z rosyjskich dań, wypić kieliszeczek czy dwa wódki i znów wrócić na paryskie trasy.

Gdy ojciec odnalazł i odwiedził dawnych przyjaciół, zaczął rozglądać się za pracą. Fabryki Renault poszukiwały wtedy robotników i tam ojcu udało się zatrudnić w charakterze magazyniera. Zdołał nawet znaleźć dla matki pracę wykwalifikowanej robotnicy przy automatycznych tokarkach w hali maszyn. Potem zaczął szukać dla nas domu. Znalazł go – znów za pośrednictwem przyjaciół – w Boulogne pod Paryżem, niedaleko Porte de Saint-Cloud, tuż obok starego ratusza Boulogne, naprzeciw cementarza przy ulicy de l'Est. Dom był niewielki, dwupiętrowy, zamieszkały przez kilka rosyjskich rodzin, z których jedna, bezpośrednio nad nami, miała liczne potomstwo, w tym chłopca nieco tylko starszego ode mnie. Od razu zaprzyjaźniłem się z Borysem.

## Po sąsiedzku z rodziną Dżumuków

Wyjechaliśmy z Montargis samochodem jednego z przyjaciół, a bardzo skromny dobytek rodziców bez trudu zmieścił się w bagażniku. Jechaliśmy cały dzień. Ciągłe jeszcze pamiętam tę bardzo dziwną dla mnie podróż autem, z licznymi przystankami na jedzenie lub za potrzebą. Wreszcie dotarliśmy na ulicę de l'Est. Mieszka-

# Znane i nieznanne

## Karaimskie portrety

Sklep (na zdjęciu) przy 23 rue Viala, Paris 15e był prowadzony przez Simona (Sienię) Szamasza. Isaac Saraf miał sklep przy rue César Franck, Paris 15e.



nie było naprawdę przyjemne. Sąsiadowaliśmy z rodziną Dżumuków. Ich babcia pamiętała rodzinę mojego ojca i jego samego z okresu, gdy był małym dzieckiem na Krymie. W tamtych czasach pani Dżumuk mieszkała w Eupatorii, niemal nad samym Morzem Czarnym, czyli mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów od domu mojego ojca w Symferopolu. Jej jedyny syn [Ilia,

Przyjaźń zadzierzgniętą na Krymie rodziny Prik i Dżumuk kontynuowały we Francji.



przyp. red.] ożenił się z pochodzącą z Grecji Chrissie wyznania karaimskiego, które było także religią Dżumuków i mojego ojca. Mieli śliczną córeczkę Estelle, trochę młodszą ode mnie. Szybko się z nią zaprzyjaźniłem, co było naturalne, bo dzieci z tego środowiska miały pewne wspólne cechy, niezbyt typowe we Francji. Mieszkaliśmy paręset metrów od siebie i często się odwiedzaliśmy. Starsza pani Dżumuk była majestatyczną rosyjską babcią o obfitych kształtach, nieco w stylu starzejącej się królowej Wiktorii, ale o opalanej, bardzo gładkiej cerze i pięknych siwych włosach. Doskonale znała tajniki rosyjskiej kuchni i kiedy przychodziliśmy do nich z wizytą – do ich jednopokojowego mieszkania jeszcze mniejszego niż nasze – podejmowała nas bardzo wystawnie przepyszными daniami. Liczne grono przyjaciół spotykało się tam regularnie, aby spędzać czas na wspomnianiu, na chwilę zapominając, że ich obecnym domem jest Francja. Dorośli śpiewali, żartowali, śmiali się, a my z Estelle zajmowaliśmy się tym, co robią wszystkie małe dzieci: nadstawialiśmy uszu, bawiliśmy się, hałasowaliśmy.

I tak upływał drugi etap życia moich rodziców, którzy pracowali w fabryce Renault i zarabiali przyzwoite pieniądze, prawdopodobnie większe niż w Montargis.

## Szkola

A ja rosłem, rozwijałem się i w pewnym momencie rodzice musieli mnie zapisać do szkoły. Mieściła się ona przy ulicy de Paris. Tam zacząłem poznawać francuski styl życia, bo przecież każdego dnia spędzałem kilka godzin w otoczeniu Francuzów, włączając się w ich zabawy, obserwując, jak postrzegają świat, bawiąc się razem z nimi. Przeżyłem w tej szkole wiele przykrych sytuacji. Zasadniczo podobało mi się tam, ale ta zupełnie nowa dla mnie atmosfera w szkole była źródłem traumy. Wszystko mnie drażniło, począwszy od dań serwowanych w stołówce – byłem przyzwyczajony do kuchni orientальной i szkolne jedzenie w ogóle mi nie smakowało. Budynek szkoły musiałem opuścić o szóstej, a matka mogła mnie odbierać dopiero po pracy, czyli grubo ponad kwadrans później. Musiałem na nią czekać, gdyż z fabryk Renault, położonych w Billancourt, do ulicy de Paris, gdzie była moja szkoła, szło się około pół godziny. Ani autobus, ani metro nie kursowały w tym kierunku. Ojciec pracował jeszcze dłużej, toteż po odebraniu mnie ze szkoły matka szybko wracała do domu, by rzucić się w wir prac domowych.

Z przedmiotami w szkole nie miałem raczej kłopotu. Lekcje kończyły się jednak o czwartej, a po półgodzinnej, ostatniej przerwie na podwórku szkolnym niektóre dzieci zostawały w szkole do szóstej, by pod opieką nauczyciela odrabiać zadania domowe. Wtedy czułem się zagubiony, wyobcowany. Doprowadziło to do reakcji, która często zdarzała mi się i w późniejszym życiu: izolacji lub ucieczki, jeżeli coś mi nie odpowiadało. Nierzadko później – nawet w wojsku, w życiu rodzinnym czy zawodowym – kiedy ogarniał mnie paraliżujący lęk, musiałem ratować się ucieczką, by go pokonać. Wtedy, w szkole, już po kilku dniach postanowiłem wychodzić o czwartej wraz z dziećmi, które od razu szły do domu. Wiedziałem, że mama przyjdzie po mnie przed szóstą trzydzięci, wystarczyło więc, bym punktualnie pojawił się przed bramą, żeby wszystko wyglądało jak zwykle. W rezultacie przez pewien czas (nie jestem w stanie teraz określić, jak długo to trwało), jako pięcio- czy sześciolatek przez sześćdziesiąt albo dziewięćdziesiąt minut spacerowałem codziennie bez żadnego planu po ulicach Boulogne wśród tłumu dorosłych przechodniów, których co chwilę pytałem o godzinę, ponieważ wiedziałem, że po szóstej mam czekać na mamę przed szkołą. Pojawiałem się przed bramą szkoły na tyle wcześnie, by zobaczyć nadbiegającą matkę, i potem razem ruszaliśmy do domu, gdzie mama mnie myła, karmiła, kładła spać, po czym dalej zajmowała się domem do powrotu ojca z pracy.

## Wagary

To one pozwalały mi częściowo odzyskać równowagę. Niestety, choć zazwyczaj oddalałem się od szkoły jak najszybciej, by uniknąć spotkania z kimś, kto mógłby mnie rozpoznać, pewnego dnia – zbyt już pewny siebie – przystanąłem na dłużej przed jakąś cukiernią, by nacieszyć wzrok tymi wszystkimi słodyczami i czekoladkami, które wydawały się na mnie czekać. Nagle poczułem rękę chwytającą mnie za ramię i ujrzałem moją nauczycielkę, która później niż zwykle wyszła z pracy i po drodze do domu mnie zobaczyła. Zaszokowało ją to, bo uświadomiła sobie, że powinienem być w szkole pod opieką nauczyciela wyznaczonego do odrabiania zadań z dziećmi. Teraz ona zaczęła mi zadawać pytania, co – rzecz jasna – wprawilo mnie w zakłopotanie. Najpierw spytała, co tu robię, dlaczego nie zostałem w szkole, a gdy zawstydzony nie bardzo umiałem odpowiedzieć, spytała, gdzie mieszkam, stanowczo ujęła moją rękę – zresztą bez cienia złości – i nie puściła,



Matka pracowała w fabryce Renault jako wykwalifikowana robotnica przy automatycznych tokarkach w hali maszyn.

dopóki nie doprowadziła mnie do domu. Oczywiście o tej porze nie było tam nikogo. Miała teraz spory kłopot, bo ani nie mogła ze mną zostać, ani z powrotem zaprowadzić do szkoły. Poprosiła więc o pomoc dozorczynię, też bardzo przejętą i zaskoczoną moim widokiem. I tak przez ponad godzinę towarzyszyłem tej dzielnej kobiecie przy wszelkich pracach domowych – myciu schodów, praniu bielizny, itp., a ona czuła się za mnie odpowiedzialna i nie spuszczała ze mnie oka, bojąc się, że mogę uciec w nieznane. O ustalonej godzinie mama przysła pod szkołę, mnie tam nie zastała i przerażona przybiegła do domu, gdzie znalazła mnie całego i zdrowego u dozorczyńni. Kiedy zażądała wyjaśnień, wszystko jej wyznałem, dostałem klapsa, a może dwa, i płacząc wraz z matką, słuchałem jej tłumaczenia, na jakie niebezpieczeństwa się wystawiałem, samotnie włócząc się po ulicach przez ponad godzinę. Nazajutrz razem poszliśmy do szkoły. Matka poprosiła o rozmowę dyrektora, który, niezwykle zdziwiony moimi powtarzającymi się eskapadami, przyrzekł, że to się już nie powtórzy. Od tego momentu zarówno w sali lekcyjnej, jak podczas przerw na dziedzińcu byłem na cenzurowanym

Młody Michel z rodzicami.



jako uciekinier, bardzo nietypowy, może nawet niebezpieczny. Kiedy około czwartej po południu wychodziłem na dziedziniec, by spędzić półgodzinną przerwę przed odrabianiem lekcji, korciło mnie, żeby wyjść na miasto. Nie było to jednak możliwe, bo przez całą przerwę pilnowało mnie dwóch bardziej krzepkich i większych ode mnie chłopców. Czułem się nieszczęśliwy i bezsilny.

### Nowe mieszkanie

Po upływie roku lub dwóch, kiedy sytuacja rodziców się poprawiła, przeprowadziliśmy się z tego miłego, ale bardzo skromnego mieszkania do kamienicy położonej znacznie bliżej fabryki, w której pracowali rodzice. Główne wejście do zakładów Renault znajduje się w Boulogne Billancourt, na placu Nationale. Mieszkaliśmy tuż obok, na ulicy Nationale, w budynku z windą, który wydawał mi się bardzo elegancki. Nasze mieszkanie znajdowało się na czwartym piętrze. Życie tam było naprawdę wygodne – mieliśmy pokój dzienny, sypialnię rodziców, osobny pokój dla mnie itd. To był raj na ziemi.

### Życie towarzyskie

W tym właśnie czasie zorganizowano w Paryżu wystawę kolonialną. Był rok 1931 i miałem 5 lat, ale dobrze ją pamiętam. Przypominam sobie ludzi o czarnej i żółtej skórze, a także nowo powstałe na tę okazję, pełne egzotycznych zwierząt zoo w Vincennes. W Paryżu też mieszkaliśmy i spędzaliśmy wolny czas wśród zaprzyjaźnionych Rosjan. Jeden z nich był lekarzem, drugi prowadził sklep spożywczy, trzeci był fryzjerem i często go odwiedzałem, by obciąć włosy. Wśród tych licznych nowych przyjaciół była też bardzo miła rodzina żydowska, którą często odwiedzaliśmy. Mieszkali dwa piętra pod nami, ale byli lepiej od nas sytuowani. Nazywali się Fils, a ich córka, Jeanne, sympatyczna i bardzo ładna, miała więcej lat, co ja, choć wykazywała więcej sprytu, co wprawiało mnie w zakłopotanie. Ciekawska i wybitnie inteligentna, zawsze szukała jakichś nowinek. Pan Fils zajmował ważne stanowisko we francuskiej administracji państwowej. Pani Fils, piękna i bardzo inteligentna Żydówka, wciąż śpiewała. Była bardzo serdeczna w stosunku do nas. W ten oto sposób nasza mówiąca po turecku rodzina weszła w zupełnie nowe otoczenie.

Michel Prik

Przekład z języka francuskiego Hanna Pilecka  
Fotografie z archiwum rodzinnego.



Książka autorstwa Michela Prika pt. *Wprowadzenie do spadochroniarstwa sportowego*.